

Leon Daudet.

Serce i nieobecność.

(Z francuskiego tłum. Marya Jadwiga Migowa).

18

— Uf! — odetchnęła Marion, odprowadzając swych gości do drzwi.

Czuła się jednak stanowczo lepiej i pewniej. Najtrudniejsze było zrobione. Zawiadomienie Hottelotów, de Torve'a, Heleny Ponant, miss Lindney, Lanique'a nawet Palaiseau, pójdzie już jak z płatka.

Potem wzmianka w dziennikach pod tytułem: „Nie trzeba nigdy tracić nadziei“, która pocieszy dużo żon i matek, oplakujących zaginionych mężów i synów.

Skoro odpadły akcesorya, sytuacja zarysowała się dla Marion w wyraźnych konturach.

— Mój mąż jest mi zupełnie obojętny. Szaleję z miłości dla kochanka, a kobieta jest za razem i moją przyjaciółką i jego żoną, może lada chwila dowiedzieć się wszystkiego. Taki jest scenariusz naszej tragedii. Dzień, w którym mąż mój powróci, to jedna jeszcze komplikacja więcej i koniec.

Postanowiła sobie wypowiedzieć tę formułę z gramatyki zdrady małżeńskiej Klaudyuszowi przy najbliższym spotkaniu, kiedy się jednak spotkali w mieszkaniu przy ulicy des Ombres, ani jedno ani drugie nie miało ochoty do żartów.

Klaudyusz wiedział już od Grantouvra o nerwowym ataku Marion. W nim samym odezwał się głos egoizmu męskiego. Zdził go lęk przed przykrościami i nowymi komplikacjami. Ochłodziło to nieco, przynajmniej chwilowo, jego uczucia.

Na usta wybiegło mu to zdanie, które dobrze znała kobiety, a które zawsze czyni tego, kto je wypowiada, trochę śmiesznym w ich oczach.

— Musimy być więcej ostrożni niż kiedykolwiek...

Marion niemiłe dotknięta odrzuciła energicznie:

— Najostrożniej będzie, przestać się widywać wogóle...

— Ach! ty zawsze wszystko bierzesz tak skrajnie! Odrzuć ostateczność! Ach, ty kobieto, po trzykroć kobieto!...

Chciał ją pocałować, ale uchyliła zrezygnowanie.

— Tyś się już zmienił. Nie jesteś ten sam. Nie zaprzeczaj. Mówię prawdę. Czytam w twojej myśli, widzę, czuję, jak powtarzasz sobie ciągle: „Co za historyja! Ksawery wrócił jak się z tego wywikłać?“ Ojóż ja cię przestraszę jeszcze bardziej! Nie można się wcale wywikłać! Ty jesteś mój, należysz do mnie, a cozaćem kpię sobie ze wszystkiego! Będę broniła moich praw do miłości, jak lwica!

Ta szczerość rozrzewniała go, a słowo „przestraszę“ ubodło jego ambicję. Oświadczył więc, wpadając w tensam ton, w jakim mówiła Marion, że nie robi sobie nic z Ginetty ani z całego świata, dopóki posiada miłość swej uroczej Marion.

— Widzisz! Tak to mi się podobasz!... Jakiś ty piękny w tej chwili... Kocham cię!... I cóż może nam się przydać najgorszego? Śmierć! Ależ ona podcina tyle istnień młodych, niewinnych, które mają pełne prawo do życia!... Zaden z tych żołnierzy tam na polu walki nie może się przed nią uchylać... Umrzeć przez ciebie i dla ciebie, dla mego Klaudyusza! Cóż za szczęście!

— Nie sądź — odparł Klaudyusz ze smutnym uśmiechem — że ja się lękam nienawiści lub przemocy!... Niel ja się tylko obawiam krzyków, szykan, próżnych gróźb, dramatycznych scen — jednym słowem wszystkiego, co ja określam nazwą „nos Ginetty“... To jest najgorsze, barbarzyńskie, to mnie doprowadza do rozpaczyl...

Marion wyciągnęła się na sofie w pozie śmiałej, lubieżnej, przypominającej sceny z obrazów Goyi... Klaudyusz spojrzał na nią płonącymi oczyma.

Nagle wśród ciszy nocnej ozwał się silny głos kobiety, wołając:

— Marion!...

Zadrżeli oboje i spojrzeli po sobie, przekonani, że to jakaś halucynacja słuchowa.

Ale głos kobiety zawołał po raz drugi jeszcze wyraźniej:

— Marion!...

Ton był nakazujący, uroczysty.

— Co to znaczy? — zawołał Klaudyusz, zrywając się.

Marion drżała cała, a oczy jej błędne pełne były przerażenia.

— To nie może być nikt inny, jak tylko...

Nie miała odwagi wymówić imienia. Klaudyusz ją wyreczył:

— Ginetta!... Ależ dlaczego ona miałaby coś podobnego zrobić? To byłoby idiotyczne!... A zresztą skądże...

— Cicho bądź, nie mów nic.

Wyteżyl słuch, przytuleni do siebie, jak złodzieje przychwytywani na gorącym uczynku... Ale niezrozumiale, tajemnicze wołanie już się nie powtórzyło. Zapanowała znowu cisza i nic jej już nie zakłóciło.

Zawstydzeni własną lekliwością, zdecydowali się nagle stawić otwarcie czoło, czającemu się niebezpieczeństwu. Razem wyszli z mieszkania. Ulica była pusta, jak wymiotti. Nikogo, absolutnie nikogo nie było widać.

Ginetta była zadowolona z okrutnej farsy, którą tak kunsztownie odegrała. To miał być zresztą tylko debiut, początek zemsty.

Od czasu, gdy Marion otrzymała wiadomość od męża, nowy plan zaświtał w głowie doktorowej. Nie wahając się długo, zabrała się do wykonania.

Zaadresowała kartkę do „kapitana artylerii Ksawerego Darmelle, barak 15, obóz jeńców w Schultzen, Westfalia, Niemcy“.

Potem zmienionym pismem skreśliła następujące słowa:

„Pański przyjaciel dr. Klaudyusz Etiennant zajmuje się bardzo żywo pańską żoną. Widują się oni codzień potajemnie między godziną 5 tą a 7 tą na ulicy des Ombres Nro.4, życzliwa przyjaciółka“.

Odczytała raz, drugi i trzeci to jadowite posłanie. Wyobrażała sobie druzgocące wrażenie, jakie ono wywrze na biednym jeńcu, o którym wiedziała, że jest szalenie zazdrosny...

Będzie się młotał w bezsilnym gniewie i napewno wyteży wszystkie siły, aby powrócić do Francji i ukarać niewierną żonę i zdradzieckiego przyjaciela.

Własnoręcznie wrzuciła Ginetta swój anonim do skrzynki pocztowej i powróciła do domu, bardzo ze siebie zadowolona.

Zatruta strzała wysłała niechybnie wywrze pożądaną skuteczną, a wtedy, wtedy wybije godzina zemsty!...

ROZDZIAŁ VI.

W niewoli niemieckiej.

Kapitan Ksawery Darmelle ranny, ugodzony kulą w okolicy kregostupa, dostał się do niewoli wraz ze wszystkimi żołnierzami swej baterii. Naprzód umieszczono go w jednym ze szpitali na terytorium okupowanym przez nieprzyjaciela.

Tam przykuła go ciężka choroba do łóżka na siedem miesięcy.

Rodzinnie nie mógł dać żadnej wiadomości o sobie, albowiem zabroniono mu pisać jakiekolwiek listy do Francji.

Biedny ranny zerał się formalnie troską i tęsknotą, myśląc wśród najgorszych cierpień ustawicznie o swoich, a szczególnie o swej ukochanej, pięknej Marion. Ileż to razy całował z namiętną tęsknotą jej miniaturowy portrecik, który miał w medalionie.

Okrutne wypadki wojenne, niebezpieczeństwo, walka, oddalenie i niepewność, zamiast przytłumiać, podsycali jeszcze bardziej jego pragnienie miłosne.

Zona panowała wszechwładnie w jego sercu i umyśle, identyfikował ją niejako z Francją, dla której z radością, ochotnie krew swoją przelewał.

Skoro kapitana Darmelle uznano już za rekonwalescenta, wyprawiono go wraz z wielu innymi towarzyszami do obozu jeńców w Schultzen w Westfalii.

Wiedzy to pozwolono mu napisać kartkę do domu. Natychmiast skorzystał z tego zezwolenia i teraz z gorączkową niecierpliwością oczekiwał odpowiedzi.

Pomimo surowej zimy, życie jeńców w obozie było znośne. Żywiono ich wprawdzie bardzo lichy, przeważnie żebrusiem jarzynami, ale nie cierpieli z powodu zimna, bo baraki były dostatecznie ogrzewane i fraktowano ich względnie uprzejmie.

Komenda nt obozu, niejaki kapitan von Pflugitz spędził dużo lat w Paryżu, prowadził tam swego czasu duże interesy i miał nadzieję, że po wojnie znowu znajdzie się we Francji. To też, licząc się z tem, okazywał jeńcom ową pełną politowania uprzejmość, grzeczność zadowolonego ze siebie, pysznego zwycięstwem „boche'a“, która chwilami bardziej bolała niż brutalność.

Wyrażał zawsze zapastrywanie, że Francuzi padli ofiarą polityki angielskiej, że są jako baranki niewinne, prowadzone na rzeź przez perfidnych sojuszników.

Często zjawiał się w baraku, gdzie przebywał Darmelle i zaczynał z kapitanem rozmowę o paryskich czasach i o swym ulubionym bulwarze „de Sain Sermain“. Darmelle stęskniony z przyjemnością słyszał nawet z ust Niemca, nazwy ulic, po których chodził niegdyś w pachnące wieczory leśnie ze swą piękną, jasnowłosą Marion przy boku.

— Gdzie ona teraz?... Co się z nią dzieje?... Czy ona myśli o mnie w tej chwili?... Kiedyż ją znowu zobaczę?... Ach! Uwolnić się z tań!...

Powoli w umyśle kapitana dojrzewał pewien plan.

Znał on dobrze symptomy tej strasznej choroby, która prowadzi do paraliżu i do śmierci poprzez bóle dotkliwe, zaburzenia wzroku, strach przestrzeni i tym podobne objawy.

— Jeżeli zdola przekonać naczelnego lekarza — kombinował Darmelle — że grozi mi choroba miecza pacierzowego, to może odeślą mnie do Francji w drodze wymiany jako niezdolnego do broni inwalidę!...

Ten lekarz naczelný w obozie w Schultzen nosił nazwisko Murmelthier i można było o nim śmiało powiedzieć, że istotnie w tym wypadku „nomen-omen“, tak bardzo przypominał powierzchownością swoją to zwierzę.

Z początku Murmelthier nie zwracał żadnej uwagi na skargi i jęki kapitana Darmelle, skoro ten jednak przez piętnaście dni nieustannie żalił się na mocne bóle w dolnej części kregostupa, zajął się nim. Naprzód zapisał mu jakieś pigułki, które oczywiście nie tylko nie przyniosły polepszenia, ale wręcz przeciwny wywołały skutek. Darmelle jęczał i utrzymywał, że chodzić nie może...

Po kilkunastu dniach lekarz zapytał w końcu kapitana czy przypadkiem nie doznaje jakichś zaburzeń wzroku, a mianowicie czy przedmioty nie dwoją mu się w oczach...

— Mam cię, ptaszku — pomyślał kapitan — jestem na dobrej drodze...

Głos zaś rzekł:

Istotnie, czasem mi się wydaje, że tu obok stoją dwa stoliki, a wiem, że jest tylko przecie jeden...

Hm... hm... — mruknął Murmelthier i na razie nic już więcej nie powiedział.

Od tego dnia wszakże jał z baczną uwagą obserwować Darmelle'a, poddawać go coraz to innym próbom, z których kapitan wychodził zwycięsko, coraz silniej gruntując w umyśle lekarza przekonanie, że tutaj grozi nieuleczalna choroba...

Pomimo całej powagi położenia kapitanowi nierzaz chciało się śmiać, kiedy widział jak Murmelthier w głębokim namyśle kiwa nad nim głową...

— Nigdybym nie przypuścił, że mogę być tak dobrym symulantem. — mówił sobie w myśli Darmelle.

Nareszcie po kilku tygodniach wyczekiwania przyszły pierwsze wieści z ojczyzny.

Darmellowi oddano dwa listy i jedną karikę korespondencyjną. Nie mógł powstrzymać się aby nie kryknąć z radości. Poznał pismo Marion i pismo swej matki.

(Ciąg dalszy nastąpi)